

TEATR

**BARDZO  
DOBRE  
STRESZCZENIE  
Z TOŁSTOJA**

**BARBARA  
PAROBCZAK**

ADAPTACJĘ WSPANIAŁEJ POWIEŚCI Lwa Tołstoja „Wojna i pokój” nazwał Erwin Piscator wspólnie z Alfredem Neumannem „wersją mówioną dla teatru”. Jest rzeczą oczywistą — pisał — że transponując to monumentalne dzieło na scenę, należy zachować najdalej idącą ostrożność.

Jakoż z tą ostrożnością Piscatorowi niezupełnie wyszło, choć ludzie teatru uważają jego adaptację za wprost genialną i niedoścignioną. Trzeba przyznać, że kilka sztuczek i sposobów transpozycji słowa na warunki sceniczne udało się Piscatorowi znakomicie, choć po 21 latach, jakie upłynęły od premiery „Wojny i pokoju” w Schiller-Theater, niektóre sprawy mocno się przestarzały i opatrzyły.

Irena Babel, która wprowadziła adaptację Piscatora na sceny polskie przed 19 laty (premiery w Teatrze Powszechnym w Warszawie), postanowiła, za namową lubelskich władz teatralnych, wrócić do niej znów. I odkryła w Piscatorze i Tołstoju wciąż aktualne i żywe treści, a nawet została ujeta świeżością formy scenicznej i nowymi możliwościami inscenizacyjnymi. Konieczność wystawienia w teatrze „Wojny i pokoju” podkreśla również fakt — mówi Irena Babel w wywiadzie dla „Kurierza Lubelskiego” — że ogłoszono właśnie II Apel Sztokholmski i wybuchają coraz to nowe zarzewia wojny. Tak również argumentował wystawie-



„Wojna i pokój” Lwa Tołstoja w reż. Ireny Babel. Scenografia Xymeny Zanlewskiej i Maril Irzyk. Na zdjęciu od lewej: Elżbieta Skątkowska, Kazimierz Siedlecki i Henryk Sobiechart



Na zdjęciu: Barbara Kozłowska i Henryk Sobiechart

nie „Wojny i pokoju” Piscator w roku 1955, co świadczy zresztą o nieustannym i nieprzemijającym poczuciu zagrożenia, jakie towarzyszy ludziom przez wieki.

Premiera „Wojny i pokoju” odbyła się 26 września na scenie Teatru im. J. Osterwy w Lublinie. Widzowie zwykli i niezwykli zjawili się tłumnie i przesiedzieli bez znużenia oka trzy godziny, dzieląc zdenerwowanie i zażenowanie z aktorami, reżyserem, scenografem, a nawet realizatorami dźwięku.

Odnowienie teatru nie zależy wyłącznie od sceny — mówił Piscator — lecz w równej mierze od publiczności. Nie można traktować sztuki wyłącznie z punktu widzenia rozrywki, lecz należy dostrzegać w niej swego rodzaju laboratorium, w którym waży się postępowanie człowieka i jego edukacja moralna.

Otóż to. Spójrzmy na przedstawienie lubelskie oczami przeciętnego widza, który przychodzi do teatru mając świadomość, że będzie wychowywany, pouczany, denerwowany, przekonywany, a nawet rozśmieszany. Widz ów zna powszechnie dostępne w Polsce adaptacje filmowe i telewizyjne prozy Tołstoja; już dawno przeczytał powieść, nawet miał czas, by przeczytać ją kilkakrotnie, ale nie wie, jakie przeżycia związane z Tołstojem przygotowuje mu teatr. Nie zna również taktyki reżysera, scenografa i aktorów, obce mu są dywagacje na temat możli-

wości adaptacyjnych „Wojny i pokoju”, nie jest wszak krytykiem teatralnym. Ale skoro wszyscy odwołują się do jego sumienia, postanowił mieć własne zdanie.

Scena, na której rozpoczyna się akcja, jest uboga, ale jest to oczywiście ubóstwo świadomie założone. W tle wielka makietka mającej się za chwilę rozegrać bitwy, a na niej dokładnie zaznaczone nazwy miejscowości i ruchy wojsk.

Horyzont zmienia się zależnie od sytuacji scenicznych. Obrazy i sytuacje tworzy się na oczach widza, każdy przecież rozumie tę konwencję teatralnych iluzji.

Akcję prowadzi, komentuje, wyjaśnia i opowiada Narrator, postać zazwyczaj bez cech szczególnych, ale w adaptacji, Piscatora główna postać konstrukcji dramatycznej. Narrator tworzy nastrój następujących wkrótce scen, przedstawia nam bohaterów zdarzeń, jest łącznikiem między nami a wydarzeniami scenicznymi, interpretuje zachodzące właśnie zjawiska.

Po kilku mijających scenach widz już wie, że Krystyn Wójcik, któremu powierzono tę funkcję w lubelskim przedstawieniu, nie da rady, nie udźwignie ciężkiej na nim odpowiedzialności za losy sztuki. I nie dlatego, że jest złym lub przeciętnym aktorem, ale że nie umiał lub nie mógł wytworzyć w sobie żadnego emocjonal-

nego stosunku do Narratora. Jest skrupowany i sztuczny, nieustannie zapracowany swoją ciągłą obecnością na scenie. Nie umie być czarującym gospodarzem wieczoru, na którego się czeka i którego brak jest jaskrawo widoczny. Widz zastanawia się czasami, czy nie za często ten Narrator płacze się po scenie, czy nie za bardzo ingeruje w akcję. Ale gdy się w spokoju i skupieniu wsłucha w słowa, które Narrator wypowiada, uderzy go ich mądrość, płynność i aktualny sens. Akcja jednak zmienia się szybko i na wnikliwą kontemplację będzie czas po przedstawieniu.

Skoro więc Narrator jest taki, jaki jest, a w założeniu inscenizatora i reżysera ma wiązać akcję i tworzyć harmonijną całość, więc zrozumiałą rzeczą są płynące stąd następstwa i konsekwencje.

Inszenizacja ma dobre i złe fragmenty. Do najlepszych, zarówno w adaptacji, jak i w lubelskiej inscenizacji, należy bitwa pod Borodino.

Hrabia Bezuchow manewruje kukłami żołnierzy. Raz przechyla szalę zwycięstwa na stronę Napoleona, by za chwilę oddać inicjatywę w ręce Kutuzowa. Przewodzi rozmowy z obywatelami, wielkimi wodzami i z szarymi żołnierzami, odszukuje księcia Andrzeja i chłopca Karatajewa. Jest dobrym i złym jastrzębiem tej wielkiej, marionetkowo teraz wyglądającej wojny.

Kazimierz Siedlecki, który gra rolę hrabiego Bezuchowa, ma teraz swoje wielkie chwile. I widz to rozumie. Biję brawo, choć przedtem milczał nieprzyjaźnie.

Brawa nagradzają również sceny, w których pojawia się stary książę Bolkoński, czyli Stanisław Olejarnik. Wielki to aktor i choć całe życie spędził w Lublinie, niech żałują wszyscy, którzy nie mogą go oglądać na scenie. A do filmu zapewne nie trafił dlatego, że nasi reżyserzy filmowi nie bardzo lubią jeździć w daleki (160 km) teren. Bliżej jest przecież Warszawa, Łódź czy Kraków. Ale to raczej dygresja do innego tematu o przemijaniu wielkich talentów i powszechnym braku możliwości.

A wracając do niektórych fragmentów lubelskiej inscenizacji „Wojny i pokoju”, należy ze smutkiem stwierdzić, że wieloletnie awangardowe eksperymenty Kazimierza Brauna poczyniły tu wyraźne spustoszenie w sztuce aktorskiej i tylko niektórzy widza, „co jest grane”. Do nich należą na pewno: Henryk Sobiechart, Kazimierz Siedlecki, Zofia Stefańska i oczywiście Stanisław Olejarnik, Inni, niestety, grają często role: pod tytułem, jak mi ładnie w tym kostiumie. Nawet Andrzej Hausbrandt, który od niedawna pełni w teatrze lubelskim rolę konsultanta literackiego, zachwyca się głośno i ostantacyjnie: patrzcie, patrzcie, ten Napoleon jak żywy.

Zaiste, i głos ten sam, i gest, a najważniejsze: ten sam mundur i ta sama generalska czapka. Piotr Suchora wszedł w tę rolę dopiero w ostatniej chwili, a poza tym nigdy przedtem nie grał takich poważnych osobistości, więc nie można mieć do niego żadnych pretensji.

Na podstawie dotychczasowych spostrzeżeń przeciętnego widza uważny czytelnik mógłby dojść do przekonania, że przedstawienie „Wojny i pokoju” przeciętnemu widzowi się nie podobało. I byłoby to z gruntu fałszywe przekonanie, ponieważ prozy hrabiego Lwa Tołstoja można słuchać w nieskończoność, a jeszcze jedna interpretacja jego monumentalnego dzieła nikomu nie zaszkodzi. Właścicie niby wszystko, co w powieści: te same sprawy, te same problemy, te same słowa... Ale czy teatr to tylko słowa?

A co można znaleźć w lubelskiej inscenizacji Ireny Babel? Właścicie niby wszystko, co w powieści: te same sprawy, te same problemy, te same słowa... Ale czy teatr to tylko słowa? „Wojna i pokój” — według L. Tołstoja — opowiedział dla sceny: Alfred Neumann, Erwin Piscator, Guntram Prüfer. Przekład: Zbigniew Krawczyński, reżyseria — Irena Babel. Scenografia — Xymena Zanlewskiej, Maril Irzyk, muzyka — Augustyn Bloch. Premiera we wrześniu 1976 r. Teatr im. J. Osterwy w Lublinie.